



etnia przygoda

Tadeusz Rittner był postacią wyjątkową w naszej literaturze, dramaturgii. Syn profesora Uniwersytetu Lwowskiego, późniejszego dostojnika wiedeńskiej administracji, wychowywał się już od 12 roku życia na obczyźnie. Fakt ten miał też przemożny wpływ na jego twórczość: od przesyłanych z Wiednia do kraju felietonów i opowiadań po utwory dramatyczne, z których pierwszą była napisana w r. 1901 sztuka „Sąsiedki”. Od początku też niemal swej teatralnej działalności tworzył Rittner dwie wersje sztuk: polską i niemiecką. Właśnie wersje, a nie tłumaczenia tego samego utworu. Zdolność tę musiał zresztą Rittner opłacać także rozterką twórczą. Pisał o tym w „Wyznaniu osobistym”: W pierwszym okresie mojej twórczości pisałem najpierw po polsku, teraz powstaje najpierw wersja niemiecka. Przy przeróbkach zachodzą rozmaite modyfikacje. Pisanie w dwóch językach, z którymi się zrosło od najwcześniejszej młodości, ma pewien urok, bywa jednak również denerwujące, bo zdarza się czasami, że kiedy poszukuję wyrażu polskiego — nasuwa się niemiecki i odwrotnie.

„Lafo” z którego premierą wystąpił ostatnio Teatr „Wybrzeże”, było dźwięłwą z kolei sztuką Rittnera. Ukończył ją w lutym 1912 r., w październiku już odbyła się prapremiera tej smutnej nieco komedii w wiedeńskim Burgtheater, w listopadzie 1913 — premiera we Lwowie. Charakterystyczne, iż do r. 1929 sztuka grana była na polskich scenach zaledwie pięciokrotnie — ostatnio w wileńskiej „Reducie”. Renesans „Lata” nastąpił po wojnie, ściśle w r. 1956. Od tego czasu sopocka inscenizacja sztuki jest już dwunastą z kolei...

Czy oznacza to, że komedię tę na nowo „odczytano”, doszukano się w niej problemów i spieć pasjonujących współczesnych? I tak i nie: wywodząca się z wiedeńskiego modernizmu dramaturgia Rittnera to w znacznej części melodramaty o intrydze starej jak świat, a jednak... potrafiącej zaciekawić i współczesnego widza. Rittner był pisarzem wymagającym wobec samego siebie, uważał np. iż po komedii spodziewamy się dziś czegoś więcej, aniżeli pobudzenia mięśni do śmiechu — i to niezależnie od tego, czy pisarz współczesny zastąpił przedpotopową „krotochwile” genialną nazwą „komedia”, czy nie. Pisał te słowa w początkach naszego wieku...

„Lato” stanowi komedię dość smutną, której akcja rozgrywa się wprawdzie w słonecznym nadmorskim pejzażu, ale... wśród personelu i kuracjuszy sanatorium dla ludzi o... powiedzmy — lekkich odchyleniach od psychicznej równowagi. Głównymi partnerami rozgrywki, zaczynającej się jak typowa letnia przygoda, a jednak poważniejszej w istocie, są: solidny lekarz-właściciel sanatorium, jego żona i „ten trzeci” — z pozoru romantyk, życiowy zagubieniec i desperat, a w gruncie rzeczy tchórz. Układy to obecnie nie należą do rzadkości w niektórych kręgach zawodo-

nej wymowie „Lata” i innych Rittnerowskich sztuk, jak „Człowiek z budki suflera”, czy „W małym domku”: Ta gromadka niebieskich ptaków”, neurasteników lub awanturników wkracza w życie rodzin mających oozory stabilności, opartych — przynajmniej od strony mężczyzny — na kwalifikacjach zawodowych, cenionych w danym środowisku. Zjawiają się, żeby spowodować kataklizm, sprowokować i uaktywnić tęsknoty pani domu, ukazać fałsz ukryty za pozorem poprawnego małżeństwa i... odejść, a raczej zwać, skompromitować — nie tyle owe małżeństwa, ale samych siebie.

Ten wiódący konflikt i jego rozwiązanie zostały sugestywnie pokazane w sopockiej inscenizacji „Lata” Mysłę, że zasługa to reżysera Krystyny Meissner, ale i w nie mniejszym stopniu wiodacej trójki bohaterów: doktora (Henryk Bista) jego żony (Teresa Lassota) i Iorupa (Andrzej Piszczatowski). Zwłaszcza państwo doktorostwo zaprezentowali znakomite aktorstwo, (uważam, iż Teresa Lassota przeżywa obecnie swój aktorski renesans — potwierdziła to kilkoma kolejnymi bardzo udanymi rolami). Wśród pozostałych wykonawców dobra rolę egzaltowanej subretki stworzyła Krystyna Lubieńska, doktora-sekundariusza Ryszard Ronczewski, wszędobylskiego Goldera — pełen rubasznego nieco temperamentu Stanisław Michalski. Wszyscy bohaterowie otrzymali niekiedy naimodniejsze ponoć obecnie kostiumy projektu Jadwigi Pożakowskiej. Szkoda, że z barwnością owych kostiumów, kolorytem całej sztuki, rozgrywanej się orzecież w słonecznym blasku nadmorskiego lata aż do tego stopnia kontrastuje szarzyzna dekoracji Alego Bunscha. Nie ma w niej nic ze słońca, uwalności nużacej troche ale i podniecającej atmosfery lata — będącego orzecież istotnym tłem całego dramatycznego konfliktu. Złą scenografia w sposób wyraźny obniżyła tutaj walory całego spektaklu.

ADAM ZACHAREWICZ